

Nr. 2. — Rok XXIII.

Dnia 29 Grudnia 1901 (11 Stycznia 1902) r.

WIECZORY RODZINNE

The title 'WIECZORY RODZINNE' is rendered in a large, bold, black serif font. The letters are partially overlaid by decorative illustrations. On the left, a rose with leaves and a stem is intertwined with the letters. On the right, a bee is flying above the letters. The background behind the text consists of various leafy branches and floral motifs.

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.



Wilk.

Z obrazu Wierusz-Kowalskiego.

Wspomnienia Pani Łowczyny.

O ELŻBIECIE Z KOWALSKICH DRUŻBACKIEJ,

przez

Sewerynę Duchinińską.

(Dalszy ciąg).

Ruch wielki panował tak w Zabrzeziu jak w Kowalewie. Raz poraz zjeżdżali się bliżsi i dalsi sąsiedzi. Radzono o przyszłej elekcji. Ani ja, ani Elżunia, nie wiedziałyśmy dobrze o co idzie, ale pragnęłyśmy aby król wic Jakób panował po ojcu. Obiór nowego króla pod Wolą, miał się odbyć w roku następnym.

Czas nam było dziewczętom zabrać się na seryo do nauki. Elżunia zdolniejsza ode mnie, pod baczmem okiem matki, umiała gładko czytać i stawiała już proste litery. Matka moja, zawołana gospodyni, mniej czasu mogła mi poświęcić. Składałam ledwie sylaby i krzywe laski kreśliłam na papierze. Stanęło wreszcie na tem, że trzy razy w tygodniu, stara sługa prowadzać mnie będzie z rana do Kowalewa, wieczorem zaś matka przyjdzie po mnie, albo też chorążyna z Elżunią, odprowadzą mnie do Zabrzezia.

Uczyłam się też pilnie, a lubo nie mogłam iść w porównanie z Elżunią, wkrótce jednak znaczne uczyniłam postępy. Wieczorami ustały pogadanki o królu Janie; ojcowie nasi często wyjeżdżali z domu, a kiedy sąsiedzi zebrawi się w Kowalewie, chorąży brał ich do osobnej komnatki, i tam naradzali się ze sobą. Chorążyna tymczasem opowiadała nam, jak to bywało od dawien dawna, za Piastów, Jagiellonów. Elżunia słyszała już o tem; ciekawa i bystra zarzucała matkę pytaniami, a jak coś raz wpadło jej w ucho, już to nigdy nie wyszło z pamięci.

Sprawy bieżące raz po raz potrącały uwagę naszą. Znałyśmy z imienia wszystkich kandydatów do korony. W ślad za chorążym, pragnęłyśmy — jak już mówiłam, widzieć na tronie królewicza Jakóba, boć jak wiadomo, jabłko niedaleko pada od jabłoni. O Elektorze Saskim dobiegały znów wieści, że wielką obdarzony siłą, kruszy podkowy i nagina szyny żelazne, a stąd jak niektórzy mówili, utrzyma naród w korbach. Ojcowie nasi nie byli tego zdania.

Tak upłynęła zima; wiosną zakotłowało się w kraju, niby w rojowisku szerszeni w Woli pod Warszawą, miał nastąpić wybór nowego króla. Szlachta hurmem śpieszyła na Mazowsze. Ojcowie nasi podążyli z drugimi, zabrawszy z sobą starszych synów.

Oj, smutny był ich powrót! Nie zapomnę nigdy chorążego, kiedy z głową pochyloną, stanął przed progiem swego domu. Biedny mój ojciec milczał, jak zaklęty. Chłopcy nawet dziwnie posowieli. Byłam wtedy z matką w Kowalewie. Pomału rozwiązały się usta ojcom naszym, posłałyśmy wtedy, że Elektor Saski obrany królem, że poseł Fleming w imieniu jego zaprzysiągł dochowanie układów z narodem. Aż się wstrząsły ściany katedry, gdy zabrzmiało: *Te Deum*.

— Nie na długo te gody — zawołał chorąży — połowa szlachty nie chce słyszeć o Sasie. Jak Bóg Bogiem prymas ogłosi znowu bezkrólewie i krew zrumieni ziemię naszą!

— Co, krew! — przerwie chorążyna błada i jak liść drżąca.

— Tak, przygotujmy się na to — odparł mój ojciec — wojna chybić nie może.

Jakoż i nie chybiła. Nie mogę wdawać się w wypadki owych burzliwych czasów. Wiadomo z historyi, że August pokonany, przez króla szwedzkiego, Karola XII,

musiał ustąpić z tronu. Nim do tego przyszło straszne działy się rzeczy. Krew buchała potokiem, kraj zasłany trupami.

W narodzie występują dwa stronnictwa: jedno trzyma za Sasem, drugie garnie się pod opiekę Szweda. Zwycięzca Karol XII prowadzi na tron Stanisława Leszczyńskiego, miłego tyłu sercem polskim.

Zacny chorąży, pragnie duszą całą ujrzeć na tronie Piasta czyli brata po krwi i duchu. Twarda sprawa: orężem tylko usunie zapory. Dzielny szermierz z pod Wiednia pozostać nie może bezczynnym. Oblóczy też zbroję z dymem ma synami, pośpiesza do obozu; on nie opuści Leszczyńskiego. Snadno pojąć, co cierpi chorążyna. Niczem dla niej trudy około roli i dobytku, stokroć bardziej dręczy trwoga o męża i synów. Dzielna niewiasta nie ugięła jednak pod ciężarem, ludzkie ucho nie posłysz jej skłamań, jeśli zapłacze to w cichości przed Bogiem. Tak mijają tygodnie i miesiące. Z obozu głucho tylko dobiegają wieści. Czasem jakiś dziad w łachmanach, przyniesie parę słów kreślonych dorywczo. Otucha wstępuje na chwilę w słońcu, a potem nowa trwoga. Elżunia podziela troski z matką; krząta się koło domu, uczy młodsze dziewczęta. Dobry mój ojciec zagląda raz po raz do Kowalewa; do świadczony gospodarz udziela rad sąsiadce, podziwia jej ducha. Ja towarzyszę ojcu, pomagam Elżuni w jej biegach, ale o książkach nie ma nawet mowy.

Tak ubiegło blisko dwa lata, aż tu zakrążyła pogłaska o krwawej bitwie pod Klisowem, o tryumfie króla szwedzkiego. August jak mówią rzekł się tronu, a Leszczyński będzie królem!

Wieść ta z jednej strony ożywia serca nasze, z drugiej drżymy na myśl, czy nie przyjdzie krwawo okupić tryumfów. Chorąży z synami walczył też pod Klisowem, a walka była straszna. Dzięki Bogu wkrótce ustała wątpliwość. Powrócił chorąży do domu, zdrów, acz wcale zmieniony: włosy mu posiwiały, czerstwa krasa ujęła z lica. Synowie przybyli też z ojcem. Marcin miał szramę na głowie, Janusz nosił rękę na temblaku, wszyscy to niczem w obec szczęścia rodziny. Kowalewo stało się znów wesołym rojowiskiem!

Nie wycóżawszy jeszcze z trudów, chorąży z chęcią pospieszył do Woli na elekcję. Wrócił uradowany. Leszczyński obwołany królem naszym!

Wojna wre jeszcze po różnych stronach kraju, chorąży nie bierze w niej udziału.

W roku następnym chorążostwo umyślili wyprawić Elżunię na dwór wojewodziny podlaskiej, wielce szanowanej matrony. Niepospolita zdolność dziewczeczki, zamiłowanie jej w naukach, dały im do tego pobudkę.

— Elżbietka nasza — mówiła matka — nabiedowię się tu ze mną, czas jej odetchnąć wśród nowych miejsc i nowych ludzi!

Chorąży potrząsnął na to głową:

— Dom, to najlepsza szkoła dla dziewczyny — wtarzał, ale nie stawiał oporu żonie; sam poczynił ku temu kroki; wnet nadeszła przychylna odpowiedź.

Dobry mój ojciec zachęcony przykładem sąsiada, szorsty stał ze stosunków zawiązanych w palestrze i zakochał się również w podwoje wojewody. Stanęło na tem, że matka moja odwiezie nas wiosną na dwór białostocki.

* * *

Smutno nam przyszło opuszczać progi domowe, nie było na to rady, wola rodziców święta! Długo przejeżdżała się droga; spotykałyśmy raz po raz zbrojne oddziały dążące do obozu. Warszawa, gdzie wypadło nam spędzić parę dni, wydała nam się jak pszczolne rojowisko, w niej było wrzawy.

Ściągnęłyśmy wreszcie na miejsce, widok starożytnego zamku na wzgórzu, nad rzeką Wisłą, dziwnie nas jeszcze przeraził. Nie był to jeszcze ów pyszny pałac, w jaki p

stoczył go później kasztelan krakowski, ostatni z Branic-
kich herbu Gryf. Jan Klemens był jeszcze niedorostłym
młodzieńcem, rodzice troskliwi o wychowanie jedynaka, wy-
słali go do Paryża, dla nabycia nauki i poloru.

Wojewoda podlaski, rodzony wnuk po kądzieli Stefa-
na Czarnieckiego, nie miał rycerskiego animuszu sławnego
dziada, ale był to pan dobry dla domowników, dbały o po-
myślność wiejskiego ludu. Wojewodzina, z domu księ-
żniczka Sapieżanka, miała pozor trochę surowy, ale kto ją
bliżej poznał, musiał ją serdecznie ukochać. Była to pani
wielce pobożna, stateczna i pracowita. Życie spędzała przy
krosnach; wyszywała ornaty złotem i jedwabiami; pod
okiem jej panny respektowe haftowały alby i komże; przez
cały adwent szyły odzież dla dziatwy wiejskiej, by ją zabez-
pieczyć od mrozów, przez post wyrabiałały przyodziewek na
lato. Zamiłowana w polskich księgach, wojewodzina kaza-
ła czytać na głos paniom, podczas gdy pochyłona sie-
działa nad krosnami.

W małej komnatce obok sali, leżały na półkach ozdo-
bne wolumina. Pierwsze miejsce zajmowała tam biblia Wuj-
ka i Żywoty Świętych Skargi. Z tych czytywałyśmy co-
dziennie jeden ustęp. Z pisarzy świeckich najmilszym był
dla wojewodziny Jan Kochanowski; zajmował ją też Łu-
kasz Górnicki i inni pisarze ze złotej Zygmunto-
wskiej epoki. Późniejsze księgi nastrzępione łaciną, nie
trafiały jej wcale do myśli; utyskiwała nie raz, czemu ten
piękny język Skargi i Jana z Czarnolasu, tak się widocznie
psuje, pod piórem nowoczesnych pisarzy!

Co do książek francuskich, tych w całej bibliotece nie
dopatrzyć było ze świecą. Wojewodzina знаła dobrze ję-
zyk francuski; słyszałam, jak gładko mówiła nim u stołu
z Francuzami, kiedy przypadkiem odwiedzili Białystok, ale
to nie często się zdarzało. Pomnę, jak nieraz gromiła
ostro córki swoje, księżnę Lubomirską, starościny Bali-
mowską i Potocką, starościny Sokulską jeśli odezwały się
przy niej po francusku. Raziły ją też zbyt kowe stroje tych
pań, owe jubki z ciężkich materyj w ogromne kwiaty, a na-
dewszystko wysokie na łokieć kornety, bramowane złotem,
nastrzępione piórami. Sama ubierała się chędogo, ale
skromnie, w jubkę jedwabną ciemnej barwy i takiż kabat.

(d. c. n.)

Kwiaty w zimie.

Patrzając na pyszne bzy i kamelie, róże i goździki, które
aż się w oczach mieniają z poza lustrzanych szyb sklepo-
wych, pewnie mili czytelnicy nie pomyśleliście z kąd one się
biorą. A jednak powinno dziwić to ich bogactwo w porze,
gdy ziemia nasza śpi snem twardym, gdy gęste chmury tak
zaciemniają słońce, że o 8 rano ledwie się dzień robi;
a o 4-ej już gaśnie. Przed laty trzydziestoma takiego
widoku nie miewaliśmy. Prawda, że było mało sklepów
z kwiatami, ale też i kwiatków, zwłaszcza w pierwszej po-
łowie zimy prawie nie było. Znano tylko pospolite, bardzo
skromne, o mdłych barwach złocienie (Chryzantemy), tro-
chę jesiennej lewkonii, nieco pierwiosnków i kwiatków
szklarni zimnej — to było prawie wszystko. Ani róż,
ani goździków, ani wonnych fiołków, ani wspaniałych zło-
cieni. Szczytem zbytku, królowa zimowych kwiatów była
droga, wspaniała, ale zimna i bezwona kamelia. W ciągu ty-
lu lat powoli do dzisiejszej doskonałości i różnorodności
doszły złocienie japońskie i niemi to posługujemy się do
wiązania wieńców, do wazonów i koszów, w pierwszej po-
łowie zimy. Otrzymano też liczne odmiany róż przyda-
nych do kwitnienia zimowego; odkryto i udoskonalono goź-

dzik, i całą zimę kwitnące, poznano sztukę pędzenia bżów,
fiołków konwalii. Do tego dołączono kwiaty nieznanne
dawniej lub mało znane: dzwonkowate Fryzje (Freesia),
okazały Eucharis i t. p. Oprócz nich i dawne skromne
pierwiosnki chińskie przemieniły się w cudne pełne kwia-
ty białe, lila i różowe, ulepszone fiołki, otrzymano całą moc
kwiatów, o których tu wspominać byłoby za wiele.

Taki jest materiał dzisiejszego kwaciarza — takie
bogactwo towaru, w którym wybierać można według gustu.
Lecz jak się do tych kwiatów dochodzi i skąd się one biorą?

Znaczna ilość przychodzi i przychodzić będzie z Połu-
dnia, więc z wybrzeża morza Śródziemnego, Cannes, Nicei,
San Remo, Bordighery. Tam słońce świeci prawie ciągle,
a że w zimie grzeje słabiej, więc kwiatki rosną w lekkich
szklarniach, lub inspektach, ale wcale lub mało sztucznie
ogrzewanych. Codziennie do pociągów błyskawicznych,
które z tej t. z. Riwieri (wybrzeża) przez Paryż i Wiedeń
na północ pędzą, przyczepia się jeden lub dwa wagony, ka-
żdy po 5000 pudełek, ze świeżo ściętymi różami, goździka-
mi, fiołkami i innymi. Kolei się to opłaca, bo za przewoz
z Nicei do Paryża od pudełka pobiera po 1. 50 fr. (około
55 kop.), a niesłychana dawniej szybkość przewozu sprawa-
wia, że w Warszawie we dwie doby odbieramy kwiatek
jeszcze zupełnie świeży. Ze się to w drodze tak krótkiej
nie psuje, przekonywałem się sam, posyłając w listach z Po-
łudnia do rodziny fiołki lub pierwiosnki, w lutym między
skałami w szczelinach zrywane.

Kwiaty te tak są tanie, że nie możemy się współubie-
gać z Riwierą w ich dostarczaniu. U nas w zimie słońca
mało, opał kosztuje drogo, więc kwiaty nasze dopiero
w końcu marca tak obficie występują, iż się bez obcych
prawie obejść możemy.

Szklarnie jednak nasze nie próżnują i w zimie. W nich
to przyspiesza się czyli pędzi mnóstwo kwiatów cebulko-
wych jak hiacynty i tulipany. Już na Boże Narodzenie
widzimy w sklepach białe hiacynty, o nielicznych i małych
dzwoneczkach — są to t. z. hiacynty rzymskie (kaukazkie).
Z niemi razem pojawiają się czerwone tulipany, Duc Van
Tholl.

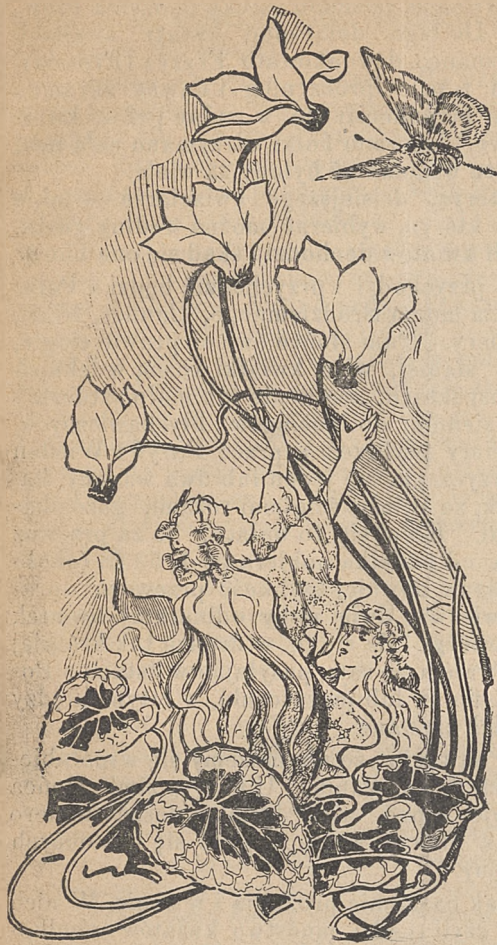
A tam obok stoją śliczne białe pierwiosnki, z siewu
wiosennego w doniczkach i przez umiejętną hodowlę w tej
porze do kwiatu doprowadzone. Nad niemi wznosi się wy-
soko dumna, zawracająca głowę swą wonią, ale nieco obna-
żona z liści tuberoza i zwiesza skromnie swe cudnie pa-
chnące dzwoneczki konwalia. Przykre ona sprawia wraże-
nie, bo na cienkiej, wybladłej łodyżce, pozbawionej liści,
chwieje się jej mały kwiateczek. Pochodzi to stąd, że kon-
walię trzeba pędzić w wysokim cieple, chcąc tak wcześniej
kwiat jej wywołać. Siedzi on w pączku już w jesieni, a ro-
ślinka z tego jest ciekawa, że wcale przy pędzeniu korzon-
ków nie tworzy. Pokarm dla kwiatu potrzebny, ukryty
jest w mięsistym pazurku (kłączu), a do wydobycia go wy-
starcza ciepło i wilgoć.

Jeżeli jednak pazurki, wykopane w jesieni, ale już
pęk kwiatowy zawierające (zwykle trzyletnie), przechowamy
w lodowni, w stałej, a niskiej temperaturze, aż do drugiej
jesieni i wtedy posadziwszy je w doniczki umieścimy w chł-
dnej szklarni, wydają ładne liście i rozkwitną praw-
dłowo. Są to kwiaty raczej opóźnione, niż przyspieszone,
ale niestety u nas dotychczas takich przechowalni chł-
dnych nie ma i kłącze opóźniane sprowadza się z Niemiec.
Trzeba temu zaradzić.

A zaradzić można, bo jeszcze przed laty kilkunasto-
ma, kto chciał mieć na Boże Narodzenie bez kwitnący, mu-
siał go sprowadzić z daleka.

Sztuką pędzenia bżów już około połowy XIX stulecia
zasłynęli ogrodnicy paryscy. Pierwszy pan Gustaw Ulrich
od nich tej sztuki się wyuczył i przed laty kilkunastu
zaczął bzy pędzić. Dziś mają je liczni ogrodnicy i chwała
Bogu tych pięknych kwiatów już nie tylko nie kupujemy, ale
ich sporo na Północ zrywamy.

Toż samo, przynajmniej po części, można powiedzieć



o fiołkach. Umiano je pędzić w szklarni, ale nowe odmiany są do tego podatniejsze. Pierwsi znów Br. Kaczyńscy temu lat 10 może zaczęli pędzić fiołki wprost z gruntu z ziemią do szklarni przeniesione.

Mamy też zakłady, które dostarczają kwiatów róż w marcu i kwietniu, ale tej hodowli opisywać nie będziemy. Mamy inne, w których się pędzi wielkie ilości krzewów ozdobnych, jak tawuły (*Spiraea*), Dejcye (*Dentria*), Wejgele, Śliwy różowe, Orliki Ostrożki, Anemony gruntowe i wiele innych.

Kto się chce z tą sztuką tro-

chę bliżej zapoznać, ten niech rodziców poprosi i z nimi zwiedzi takie zakłady jak p. Ulricha na Ceglanej, Hosera na Żytniej, Siedleckiego za rogatką Mokotowską, Brzozowskiego, J. Gebethnera na Królewskiej drodze (za rog. Wolską). Tam pozna cuda sztuki ogrodniczej, nabierze zamiłowania do kwiatów, zrozumie ile pracy i wysiłku musi włożyć człowiek we wszystko, co wytwarza. Tam też pozna udoskonalenia, służące ogrodnikowi do walki z mrozem i brakiem słońca, a poznawszy nauczy się cenić tych cichych, nieznanych a wytrwałych pracowników, którzy są pośrednikami pomiędzy przyrodą, a zamkniętym w murach miasta człowiekiem.

E. Jankowski.

Jak się uczyć?

PRZEZ

JZĘ MOSZCZEŃSKĄ.

(Dalszy ciąg).

II.

O ile dobrze jest, że musicie poza wykładem nauczyciela czegokolwiek nauczyć się sami, o tyle byłoby źle bardzo, gdybyście dni całe nad książką spędzali, gdyby wam przygotowanie do lekcji zabierało wszystek czas od lekcji wolny. Byłoby to i niezdrowo, i nad wyraz nudnie. Potrzebujecie czasu i na wypoczynek i na zabawę, i na zajęcie domowe i na pogawędkę z rodzicami, i rodzeństwem, na utrzymywanie stosunków koleżeńskich, i na wiele in-

nych rzeczy miłych i pożytecznych. Na to wszystko czas znaleźć się może, byleby go umiejętnie rozłożyć i dobrze nim gospodarować.

Trzeba przedewszystkiem czasu oszczędzać. Pierwszym warunkiem takiej oszczędności jest *zawsze robić naraz tylko jedno*. Ogoromie wiele chwil się marnuje na przechodzenie od zajęcia do zajęcia. Ciągłe odrywanie się od nauki i powracanie do niej przerywa wam bieg myśli, wymaga coraz to nowych wysiłków pamięci i uwagi, zmusza czasem po kilka razy zacząć tę samą robotę od początku i skazuje was na ponoszenie wielu trudów, idących na marne. Dzieje się tu coś podobnego co z koniem tramwajowym. Najtrudniej mu jest ruszyć z miejsca i tramwaj pociągnąć. Później siłą swego ciężaru i obrotem swych kół tramwaj sam się toczy, a koń więcej biegnie przed nim niż go ciągnie. Odrywając się ciągle od lekcji, o tyle utrudniamie sobie zadanie, o ile by je sobie utrudniał koń tramwajowy, przystając co chwila i co chwila na nowo tramwaj w ruch wprawiając. Jak zabawa nie może być ani swobodną ani ochoczą, jeżeli myśl o lekcji umysł wam zaprzęta, tak i nauka nie może być ani zajmującą, ani zrozumiałą, ani pożyteczną, jeśli ją się wciąż przerywa zabawą. W chwili, kiedy siadacie do odrabiania lekcji na dzień następny, powiedzcie sobie: Teraz o niczem nie wiem i wiedzieć nie chcę, niczem sobie przerwać nie dam i sam się od książki nie oderwę, póki się z lekcjami nie załatwię. Tak sobie powiedzcie i dotrzymajcie słowa. Ażeby go jednak dotrzymać, musicie sobie odpowiednią chwilę upatrzeć. Wybranie odpowiedniej chwili do nauki jest rzeczą bardzo ważną. gdyż w pewnych warunkach pół godziny więcej znaczy niż godzina w innych. Od trybu domowego zależy, o której godzinie będziecie mogli mieć najwięcej do nauki spokoju, ale spokój nie jest warunkiem jedynym. Niemniej ważnym od niego jest wypoczęty, świeży umysł. Dlatego właśnie *nie należy się uczyć zadanych lekcji ani zaraz po nauce ani też bezpośrednio przed nauką*.

Po lekcjach trzeba wam wypoczynku, a im zupełniej wśród tego wypoczynku zapomnicie o odbytej nauce, tem całkowitej będziecie się mogli oddać pracy nowej, gdy właściwa nadejdzie pora.

Nie dość tego. Chwilowe zapomnienie odbytych lekcji ułatwi wam później przypomnienie ich sobie we właściwym porządku i we właściwej formie. Wychodząc z klasy pamiętacie najlepiej ostatnie słowa nauczyciela; te ostatnie zatarły do pewnego stopnia w waszej pamięci wszystkie poprzednie; zasłoniły je, że się tak wyrażę. Póki ich nie zapomnicie w tym stopniu co innych jego słów i szczegółów, drobnych i nieznaczących, lekcji towarzyszących, póty nie będziecie wstanie na zawołanie odtworzyć w waszej pamięci całkowitego obrazu lekcji i jej najważniejszych punktów. To chwilowe zapomnienie będzie dla waszego umysłu jak sito, przez które wypadną rzeczy drobne i mało znaczące a na wierzchu trzymają się jedynie grubsze ziarna najważniejszych faktów, prawideł i wskazówek nauczycieli. Będzie ono tem, czem jest właściwie oddalenie przy oglądaniu obrazu. Patrząc na wielki obraz z bliska widzimy tylko niektóre kolorowe plamy dokładnie, a nie ogarniamy wzrokiem całego obrazu i nie pojmujemy jego treści. Dopiero odsunawszy się o kilka a czasem o kilkanaście kroków, możemy naprawdę zrozumieć, co obraz przedstawia.

Zarówno jak to już zaznaczyłam, nie jest także dobrze uczyć się bezpośrednio przed godziną lekcji i to z wielu powodów,

Najprzód odkładanie roboty na ostatnią chwilę pozbawia was naprawdę najmilszych chwil zupełnego wytchnienia i najweselszych wrażeń z zabawy. Zupełnie inny humor mamy przy zabawie, jeżeli możemy się jej oddać ze spokojem i bezpieczeństwem, pewni, że nam jej nic nie zamąci, w przekonaniu że żadna robota dzisiaj na nas nie czeka, że załatwiliśmy się z wszelkimi obowiązkami, a inny wtedy, gdy co chwila patrzeć musimy na zegarek z niepokojem, czy starczy nam jeszcze czasu na nauczenie się



Trzej Królowie.

Idą Królowie, świata panowie,
 O ziemskich niepomni losach,
 Droge im długą, srebrzystą smugą
 Wskazuje gwiazda w niebiosach.

Choć się znużyli, lecz nie zbłądzili,
 Bo w jasnym gwiazdy promieniu
 Niosąc swe dary, szli pełni wiary,
 Ku światła dążąc zbawieniu.

lekcyi, wciąż walcząc z sobą i wahając się: bawić się dalej? Czy już iść do książki?

Jestto ogromna różnica i dla waszego umysłu i dla waszego zdrowia. Wypoczynek połączony z troską i zakłopotaniem nie jest wypoczynkiem i nie przynosi żadnego pożytku. Nie przynosi również pożytku praca dokonywana w pośpiechu i zaniepokojeniu, a taka jest zawsze praca odkładana na ostatnią godzinę.

Jeżeli musisz ciągle myśleć o tem, żeby się nauczyć prędko — na dany termin, to nie możesz myśleć o tem, by się uczyć dobrze. Można prawie zawsze dokazać tego, czego się chce, pod warunkiem jednak, że się nie będzie chciało dwóch rzeczy naraz i to rzeczy ze sobą sprzecznych. Jeżeli chcesz dobrze rozwiązać zadanie arytmetyczne, możesz to zrobić, ale musisz myśleć tylko o zadaniu, a nie o tem, która godzina, czy zdążysz zapakować tornister, czy się nie spóźnisz do klasy, czy herbata już ostygła, czy drugie śniadanie przygotowane i o wszystkich tych drobnych szczegółach, o których myśleć trzeba wybierając się na przedce do szkoły.

Czasami dzieci liczą na to, że ucząc się przed samą lekcją nie zdążą zapomnieć do chwili, gdy nauczyciel ich „wyrwie”. Jestto zupełnie błędne wyrachowanie. To, co umiemy naprawdę, stanie zawsze na zawołanie, w naszej myśli, gdy tylko tego zażądamy, ale tego cośmy dopiero co przeczytali, nie będziemy umieli powtórzyć, jeżeli tylko przeczytaliśmy oczami, a nie zrozumieli i pojęli dokładnie. Wreszcie to uczenie się przed samą lekcją osłabia uwagę na lekcyi. Wskutek gorączkowego wyczucia się na przedce umysł wasz jest już zmęczony w chwili, gdy się lekcyja rozpoczyna, a brak uwagi na lekcyi ogromnie utrudnia pracę domową. Z tego wynikają jeszcze dwie zasady.

Przed samą lekcją nie myśl o lekcyi — wypocznij. Kiedy jeszcze byłam na pensyi, miałam ten zwyczaj, że choćbym najpracowiciej „kuła” przed jakimś egzaminem, choćbym mimo to nie zdążyła całego kursu powtórzyć, bezpośrednio przed egzaminem najmniej w jakiś kwadrans zamykałam książkę i dla tem zupełniejszego zapomnienia o nauce oddawałam się jaknajweselszym rozmowom i figlom z koleżankami. Czulałam, że chwilowe „dokazywanie” jak się mówiło, doda mi więcej spokoju i przytomności umysłu przy egzaminie, niż pracowite odczytywanie kawałka niedoczytanego rozdziału w podręczniku.

Drugą zasadą jest: *Uważaj na lekcyi.* Im dokładniej w ciągu lekcyi skupisz uwagę na wykładanie nauczyciela, tem łatwiej przypomnisz sobie i zrozumiesz jego treść, gdy sam w domu zasiądziesz do roboty. Oszczędzisz sobie przez to na czysto trudu i czasu. Na lekcyi i tak przecież ani się bawić ani wypoczywać naprawdę nie można. Nie pozostaje nic innego, jak słuchać albo udawać, że się słucha. Pierwsze jest nietylko korzystniejszym lecz szlachetnym i przyjemnym. Natomiast nie próbuj się uczyć niczego w dziesięciominutowych przerwach między lekcyami. Czas jest i tak zbyt krótki, żeby się można czegoś naprawdę nauczyć, niepotrzebnie więc umysł się męczy i zmęczony a raczej zaniepokojony do następnej lekcyi przystępuje. Jeżeli dobrze lekcyę umiesz, jeżeli dokładnie pauzę wyzyskasz, to jest nie dla nauki, lecz dla wypoczynku, dla wyprostowania członków i zwolnienia naprężonej uwagi w ciągu godziny, to samo przejście od gwaru do ciszy przy rozpoczęciu lekcyi, sama obecność nauczyciela i własna nieruchoma postawa, przywołają ci od razu na pamięć do wszystko, co podczas lekcyi wiedzieć i pamiętać potrzeba. Wynika to zresztą już z naczelnnej zasady, *nie robić dwóch rzeczy na raz.* Trochę się uczyć, i razem trochę bawić, i trochę wypoczywać, to znaczy tyle, co ani się uczyć, ani bawić, ani wypocząć należycie, zatem czas trwonąć na marne.

(d. c. n.)

Stefek Luty w Brazylii.

przez

Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg.)

CZEŚĆ PIERWSZA.

w Wągrowcu.

Rozdział I.

Pani Werębkowa. — Tamci. — Leon i Grześ. — Pochód z bukietami. — Ogródek Marysi. — Nie rusz!

U płynęło lat ośm, Stefan Luty doznał przez ten czas wiele biedy. Karmiony mlekiem, do którego dolewało sporo wody, krzychał nieraz z głodu. Krzychałby głośniejsz jeszcze, gdyby wiedział, że czeka go sieroctwo. Ale na szczęście nie zdawał sobie sprawy ze swojego opuszczenia. Dzieci wychowywane przez rodziców w drugim roku życia próbują już mówić: tata i mama. Stefek nie rozumiał znaczenia tych wyrazów.

Chodzić nauczył się prędko, bo nie było komu piastować dziecka; powtarzał za starszymi wychowanekami wyraz: „pani”, ale przed panią krył się pod ławkę lub pod łożko. Pani znałygo organiscinę, a Werębkowa, chociaż uczciwa kobieta, obchodziła się surowo z malcami: Karała ich za najmniejsze przewinienie, burczała gdy stawali na jej drodze, a nie pieściła nigdy. Niezmiernie porządna, dla czystości poświęcała spokój męża, swobodę dzieciaków. Były one zawsze umyte, ale i zawsze wystraszone, a czasem głodne.

Z jedenaściorga sierot wychowywanych na organistów w chwili, kiedy dla zaokrąglenia tuzina przybył Stefan, wyrosło z nim razem tylko dziewięciu wychowanców. Cyfra ta zamieniła się na parzystą przez śmierć biednej komornicy, po której pozostała sierota Marynia. Stefek miał już w tedy lat sześć i on to wypiastował małą swoją towarzyszkę,

— *Tamci*, nie chcą, *tamci* cię biją, — mawiał z powagą do dziewczynki.

Tamtymi nazywał starszych od siebie wychowanców. *Tamci* byli silni i cieszyli się względami organisciny, bo pomagali jej w robocie. Stefanowi dokuczali niemilosierdzie, Był najmłodszy i był znajdą. Znajdą, tak! Naprawdę pocziwy organista zabraniał używać obelżywego wyrazu, *tamci* wiedzieli, że Stefek nie miał prawdziwego nazwiska i czuli się stokroć wyższymi od podrzutka. Z nich sztydno także, musieli więc wyrzucić na kimś swą zemstę. Kiedy w niedzielę szli szeregiem do kościoła, straganiarki pokazywały palcem na wychowanców Werębka.

— Idą jak panowie a miasto musi płacić za ich buty.

— Pewnie, mój Franek w trepkach chodzi do szkoły, a ja podatek na darmożjadów daję.

Tak rozmawiały między sobą mieszczki Wągrowieckie. Stefek nie rozumiał przymówek, ale rozumieli je starsi i radzi byli odbić ua znajdzie swe upokorzenie. Przytem położenie znajdy było nieskończenie gorszem od położenia innych wychowanców Werębka. Żadne z tych dzieci nie miało matki, niektórzy jednak mogli się poszczycić ojcem lub przynajmniej krewnym. Dwunastoletniego Leona odwiedzał wujaszek z Rogoźna, a wujaszek ten wyglądał jak prawdziwy pan. Miał pełne kieszenie cygar i obiecywał zabrać do siebie siostrzeńca. To też Leon zadzierał nosa i po każdej wizycie wujaszka wymyślał młodszym towarzyszom. Zadawał się tylko z Julką, bo stryjenka Julki przynosiła jej placki. Leon zjadał smaczne ciasto, on od wu-

szka dostawał cygaro. Palił je w ogródku organisty razem z Adamkiem, który był bardzo silny, przytem zazdrośny i chętny do oskarżania. Mógł wydać Leona przed panią, pani nie puściłaby płazem takiego przewinienia. Julka miała przyjaciółki w Mańce i Karolci, trzymały się zawsze razem, więc Leon i Adaś musieli je szanować. One uprawiały bieliznę chłopców, one łuskały groch, skrobały marchew pomagały przy kuchni, miały nieraz nawet kawałek cukru w kieszeni. Pomagał Wicek, Franek i Grześ, bo to byli ulubieńcy organisty, ich więc także należało szanować. Grześ był faniant, jego dziadek służył za karbowego w Zbitce. Dziadek przywoził Węrebkowej perki i kapustę na jesieni, a kopę jaj na Wielkanoc, ale nie odbierał wnuka. Sam wdowiec, któż się zajmie sierotą — mówił, i Grześ mieszkał dotąd u organisty.

Jakże Stefek mógł się równać z temi silnemi i uprzywilejowanemi dziećmi.

Jego nie kochał nikt, nikt o niego nie pytał, nikt się z nim nie ujął, z nim i za Marysią. Ale nawet Marysia posiadała coś, czego nie miał Stefek. Chłopak przekonał się o tem, kiedy skończył lat ośm. Chowano na cmentarzu brata organisty. Sieroty Węrebków wystąpiły przy tej okazji z bukietami kwiatów. Wicek i Franek narwali kaczeńców, na łące proboszcza kaczeńców było tak wiele, że wszyscy wychowawcy nieśli pęki żółtych kwiatów, idąc szeregu za trumną. Jeden tylko Stefek szedł z próżnemi rękoma. Jemu starsi nie dali kaczeńców, a przytem Stefek prowadził Marysię.

Węrebkowie poszli po pogrzebie do domu; należało przecież uczęstować gości żałobnych. Dzieciom pozwolono zostać na cmentarzu, gdzie mogły zbierać piołun, którym pani leczyła skutecznie wszystkie choroby. Rwała Karolcia, Julka i Mańka, chłopcy rwać nie chcieli, woleli ukać rozchodniku i układać zielone różyczki na znajomych sobie grobach. Wszystkie sieroty miały tu swój własny kawałek ziemi.

W dzień Zaduszny organista prowadził je sam na mogiły matek i kazał mówić pacierz za zmarłe. Z mogił sterwały małe, czarne krzyżyki, lub odróżniały je litery z rozchodniku; każde dziecko trafiło do swojej. Julka stała właśnie na miejscu, gdzie przed czterema niespełna laty pochowano matkę Marysi. Pamiętała pogrzeb komornicy, obejrzała się też na Karolcię i Mańkę, a potem zawołałałośno.

— Stefek, przyprowadzi tu tę małą, niech się pomości za matkę, bo to jej grób.

Stefek zrozumiał rozkaz. Nie wiedział tylko, jakim sposobem Marysia nabyła praw do kawałka ziemi? Wyraz matka słyszał czasem od ludzi, dotąd jednak mało zdawał sobie sprawę z tego, co wyraz ten oznaczał. Zato w duszy dziecka rozwinęło się pojęcie posiadania czegoś na własność.

— Nie rusz, nie twoje — powtarzano nieustannie jej i Marysi. Zkąd więc nagle miała ona do swego rozpodzielenia piaszczysty wzgórek, ogródek, w którym wolno było zapewne będzie sadzić rozchodnik. On zatem tylko, nawet tu, wśród mogił, nie posiada piędzi ziemi, jak nie posiadał nigdy nic, coby swoim nazwać miał prawo:

Biedny znajda!

Rozdział II.

siądz Proboszcz. — Harmonijka. — Wdowa. — W ogrodzie nad rzeką. — Kochaj ziemię i braci. — Nagroda. — W terminie u Jana Kolarza.

— Stefek biegnij na plebanię, jegomość kazali cię zająć.

Oj biegł też Stefek z ochotą. Miał już teraz lat trzy, aście, był silny, zdrow i co się zowie dzielny chłopak. Czytał a nawet nisał po polsku. Umiał służyć do mszy

i nigdy nie zmylił ministrantury. Proboszcz chwalił go za to, że rozumie wyrazy, które inni chłopcy powtarzali bezmyślnie, a on starał się o względy proboszcza, bo kochał bardzo swego dobrodzieja. A z tem kochaniem, to tak się zaczęło.

Organista miał w domu stary fortepian i grywał na nim pobożne pieśni; grywał czasem także inne, bardzo piękne, które brzmiały niekiedy jak modlitwa, a niekiedy znów jak grom i jęk. Stefek słuchał całą duszą muzyki, ukryty za szydełkową serwetką nakrywającą komodę Węrebkowej. W główce dziecka szumiało, jak szumi wiatr wiosenny w szuwarach nad rzeką Wełną, co płynie wzdłuż miasta Wągrowca. Stefek bo i w szuwarach uciekał słuchać rechotu żab i nad jezioro chodził, gdy fale po burzy biły o brzeg w rytm groźny, a jednostajny u ha, u ha, u ha.

Nic jednak nie sprawiało mu takiej rozkoszy jak uroczysty śpiew kościelny. Pan Węrebek na organach przygrywał, a proboszcz przed ołtarzem intonował „vere dignum et justum est.” Ksiądz miał piękny głos, sierota wpatrzony w celebransę stracił świadomość chwili i zdawało się, że po skończonem nabożeństwie Marysia ciągnąć musiała Stefka za rękę.

— Tamci już poszli — mówiła zniecierpliwiona, bo pilno jej było biedz do dzieci kościelnego na wspólną zabawę.

Proboszcz znał Stefka, znał zresztą wszystkich wychowawców Węrebka i odwiedzał ich niemal codziennie. Sieroty biegły z radością na jego spotkanie, a on przynosił im łakocie z plebanii lub obdarzał zabawkami, gdy egzamin z katechizmu wypadł dobrze.

Dobrze musiał odpowiadać Stefek Luty w ów pamiętny dzień, kiedy za wzorowy postęp w nauce dostał od proboszcza harmonijkę. Chłopiec tracił głowę z radości; mógł więc grać, grać jak pan organista. Grał też do późnej nocy i zdawało mu się, że Marysia powinna rozumieć wszystko, co on wypowiedzieć chciał muzyką.

— Wiesz, teraz krowy ryczą, wracają z pola, bo Bełkowski dzwoni na Anioł Pański.

— Wiem, odpowiadała z powagą Marysia.

— Wiesz, teraz gra młyn przy zastawie, słyszysz, jak turkocze.

(d. c. n.)

WILK.

Wilk jest najpospolitszym u nas zwierzęciem drapieżnym, i najwięcej szkód czyniącym, nic więc dziwnego, że z dawien dawna grał wielką rolę w życiu i wyobraźni ludu naszego, czego dowodem są liczne podania o nim i przysłowia.

Męstwo, dzielność, wytrzymałość i zręczność perowsnywano w najstarożytniejszych wiekach z naturą wilka. Najbitniejsze pokolenia Słowian, które się oparły potędze Karola Wielkiego w IX-ym wieku, nazywane były *Wilkami*.

Że wilk zwłaszcza w porze zimowej wzbudzał ogólny postrach wśród wieśniaków, stwierdzają takie przysłowia: „Wilk mu za uchem wyje” „Wilka potkał” (kogo strach przejął) albo „Nie wywołuj wilka z lasu” (t. j. daj pokój złemu, nie narażaj się.)

Przyrodę wilka malują przysłowia: „Wilcza natura do lasu ciągnie,” „Mów wilku pacierz, a wilk: owca! baran!” „Wilcza pokora” (udana), „Trudno wilkiem orać” i t. d.

Wilk dał powód do wielu innych przysłów, które w mowie potocznej były dawniej chętniej używane.

Leżąc, wilk nie utędojdzie).

Nosił wilk, ponieśli i wilka (kara nigdy nie minie).
I wilk syty i koza cała (obie strony pogodzone).
O wilku mowa, a wilk tuż.

Miłuje go jak wilk barana (radby zgubić), Od dobrej konia wynagano „*wilczego chodu*” żeby jak wilk lekko się był. W XVI wieku zwano u nas wilka „dzikim psem;” myśliwi zaś w swoim języku zwali go *Basiorem*.

Lud prosty przypisywał mu większą moc, niż ją posiada w istocie. Dawne podanie mówi, że człowiek, który pierwszy raz ujrzy wilka, głosem nie może wołać ratunku, albowiem on swoim wzrokiem tak go *ozionił*, że głos zginie w pieśniach i dla tego na Pokuciu matki dzieciom swoim włosy przypalały, żeby się wilków nie bały.

Wilczych zębów myśliwi starzy podobno do czarów zwali. Były one herbem Stefana Batoryego a groźne to imię, którym pieczętowano wydawane przez niego rozkazy, dało powód do przysłowia „pokazał mu zęby”.

Skór wilczych, zwanych *wilczurami* używano powszechnie.

Starożytne podania ludowe mówią jeszcze o *wilkołakach*, czyli o ludziach, zamienionych przez czary w wilki. *Wilkołaki* przychodziły nocami pod chaty czarownic i przysiadły na śmieciakach, żałośliwie wyły, dopóki ta ulitowana wszy się, nie wracała im dawnej postaci „przykrywając kołuchem, wełną do góry obróconym. Dzieć się to miało najczęściej w styczniu i lutym. Tak tłumaczyła wyobraźnia ludowa podchodzenie wyjących z głodu wilków pod wioski w owej porze, jak to widzimy na naszej rycinie.

Wspomnieć jeszcze trzeba, że myśliwi utrzymują, iż gdy komu wilk drogę w poprzek przebieży, to oznacza szczęście.



ZE ŚWIATA.

Kolej Mandżurska. W roku 1900-ym podaliśmy w *Wieczorach* mapkę kolei Syberyjskiej, idącej od stóp Uralu do Władywostoku, przez całą olbrzymią szerokość Azji. Kolej rozpoczęta w 1891 r., została w końcu r. z. czyli po 10-u latach, pomimo nadzwyczajnych trudności i ogromnej swej długości — kończoną, z tą tylko zmianą, że poza jeziorem Bajkalskim, nie idzie brzegiem Amuru, lecz od miasta Manuryły zwraca się wprost do Władywostoku przez Manuryłę i posiada odnogę południową od mandżurskiego miasta Charbinu, do rosyjskiego portu nad morzem Żółtym, zwanego portem Artura. Tak więc, wkrótce będzie można od Lizbony aż do portu Artura czyli połowę kuli ziemskiej, przejechać koleją żelazną, raz tylko nawet zmieniając wagon i to w Warszawie, gdzie kończy się sieć kolei wązzym torze, a zaczyna droga szeroko-torowa. Podróż taka trwać będzie nie więcej nad trzy tygodnie.

PRENUMERATA WYNOSI:

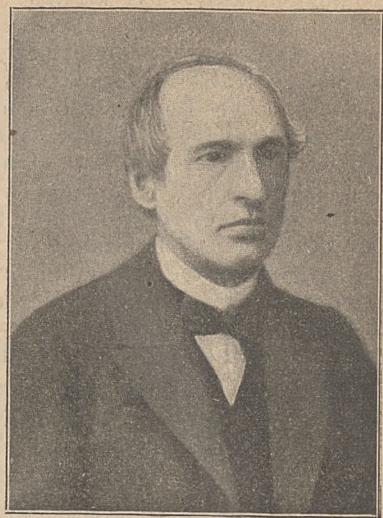
W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii rocznie koron 13. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

WARTOŚĆ: Wilk (z ryc.) — Wspomnienie pani Łowczyny, o Elżbiecie z Kowalskich Drużbackiej, przez Sowerynę Duchinińską. — Kwiaty w zimie, przez E. Jankowskiego (z ryc.) — Jak się uczyć, przez Izę Moszczeńską. — Trzej królowie, wiersz (z ryc.) — Stefek Luty w Brazylii przez Z. Bukowiecką. — Ze świata: Kolej Mandżurska i Ś. p. Feliks Jezierski (z portretem). — Łamigłówni. **Dodatek:** Szopka u Józia, wiersz (z ryc.) — Rozmowa z mamą. — Paliwoda. — Król migdałowy i królowa, komedyjka w jednym akcie. — Łamigłówni. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Dworzani królewicza Jakóba przez Teresę Jadwigę.

Ś. p. Feliks Jezierski. Dnia 15 grudnia r. z. zmarł w Warszawie w sędziwym wieku, profesor Feliks Jezierski, którego pamięć pragniemy utrwalić wśród młodzieży, bo większą część swego długiego i zacnego żywota, poświęcił kształceniu kilku pokoleń, jako nauczyciel gimnazjum lubelskiego od roku 1840 do 1862. następnie jako profesor b. Szkoły Głównej i inspektor V gimnazjum w Warszawie. Był to człowiek nauki i talentu literackiego.



Napisał wiele rozpraw z dziedziny językoznawstwa i filozofii, opracował wyborną historję literatury angielskiej, wreszcie wzbogacił piśmiennictwo nasze przekładami kilku najcenniejszych arcydzieł obcych, których znajomość jest niezbędna każdemu wykształconemu człowiekowi, a mianowicie przełożył wierszem część Iliady Homera, Fausta — Goethego, Prometeusza — Shelleya i niektóre utwory Byrona i Longfellowa.

Urodzony w Kozłowie, w gub. Lubelskiej d. 17 maja 1817 r. ś. p. Jezierski zmarł w 85 roku życia, otoczony powszechnym szacunkiem.

SZARADA.

Róża D.

Trzecia-pierwsza: dzisiaj siolo,
Galilejski niegdyś gród.
Tam na godach, gdy wesoło
Zaproszony bawił lud,
Chrystus z Matką wszedł na gody,
I uczynił wino z wody:
To był pierwszy Pana cud.

Druga-pierwsza, mała rzeka,
Przez bośnijski kraj przecieka,
Gdzie chorwackich gór jest szczyt.
Wszystko, ukształca człowieka,
Daje wiedzę, sławę, byt.

Szopka u Józia.

W Święta, — na mamy drogiej zaprosiny —
Goście do Józia przyszli w odwiedziny:
Jędrus, Staś, Janek i Helenka mała
I inni jeszcze. — Mama obiecała,
Że za cenzurkę szopkę mu sprowadzi,
Więc on i goście bardzo temu radzi.

Kiedy się dziatwa w różne gry zabawia,
Adam w jadalni krzesła w rząd ustawia!
Dla dogodnego na szopkę patrzenia,
Sza! słyhać ciężkie na schodach stąpania,
Wchodzą chłopaki z jakąś wielką skrzynią,
Przygotowania tajemnicze czynią.
No! już gotowe. — Józio w pierwszym rzę-

[dzie

Usadza gości, sam na boku siedzie.
Zosia do figłów i do żartów skora,
Usadowiła przy sobie Trezora.
Już płoną świeczki, podnosi kurtyna
I głośnym śpiewem szopka się zaczyna.

Ile tam różnych występuje osób,
To nawet piórem opisać nie sposób!
Dziarski krakowiak, hoża krakowianka,
Biedny druciarczyk i smutna cyganka,
Są i żniwiarze, tancerze nielada,
Koza z rogami, co nagle wypada;
Jest panna z Wiednia, różowa jak kwiatek,
Wreszcie król Herod, wróg niewinnych dziatek:
Wydaje na nie rozkazy surowe,
Za co mu kosą śmierć rozcina głowę.

A potem wszyscy tańczą, wyśpiewując:

Oj?da dana! Oj da dana!
Tańczymy wesoło,
Jedni w prawo, drudzy w lewo,
Wszyscy razem w koło!

Jakiż to dziadek na scenę wyrusza?
Staje, uchyla kornie kapelusza,
O grosik prosi i kłania się nisko,
Mama mu płaci, bo się napracował,
Gdy taką piękną szopkę przygotował.

A goście Józia przyśpiewują sobie:

Skończyła się ta zabawa
I Zosi wesele.
Każdy powraca do domu,
Zabawił się wiele!

M. B.

ROZMOWA Z MAMĄ.

Antoś. Mamuniu, co znaczy przemysł?

Mama. Zkądże ci to przyszło do głowy?

Antoś. Bo wczoraj, mamusi, bawiliśmy się z Ludką i zrobiliśmy sobie most. Ustawiliśmy dwa krzeselka, położyliśmy na nich długą deseczkę, tak, że jeden koniec opierał się na jednym krzeselku, drugi na drugim, potem Ludka wozila po tym moście swoją lalkę w wózek. Wujaszek przyszedł, popatrzał i powiedział:

— Patrzcie państwo, co za przemysł!

Ja myślałem, że przemysł to jest budowanie mostów, ale dziś znowu Ludka urządziła podwieczorek dla lalek, zabrakło jej gospodarstwa, więc ja jej porobiłem talerzyki z papieru. Wie mamusia, jak to się robi? Bierze się okrągłe pudełeczko od pieczątek, zdejmuje nakrywkę, kładzie się kawałek papieru na odkrytem pudełku i wkłada nakrywkę ostrożnie na ten papier. Potem się znowu zdejmuje nakryweczkę i z papieru zrobił się talerzyk. Wujaszek zobaczył to i powiada tak samo, jak wczoraj:

— To dopiero przemysł!

A ja teraz już sam nie wiem, co to znaczy przemysł, czy most zbudować, czy talerze robić?

Mama. Jedno i drugie, moje dziecko, a oprócz tego i mnóstwo innych rzeczy nazywa się przemysłem. Wszystko, co Pan Bóg stworzył na ziemi, nazywa się przyrodą. To zaś, co człowiek z tych darów Bożych przerabia dla swojej wygody i przyjemności, nazywamy przemysłem ludzkim. Oto na przykład drzewo, co rośnie w lesie, jest częścią przyrody, ale ławka, stół, krzesło, sprzęty z tego drzewa sporządzone, to są wyroby przemysłu.

Antoś. Ach! już wiem; toż wszystko, co tylko jest u nas w całym domu, to przemysł, nawet i dom, prawda mammo?

Mama. Niezawodnie; gdzie tylko ludzie mieszkają, tam wszędzie obaczymy wyroby przemysłu. Mieszkania nasze, odzież, jedzenie, wszystko to pochodzi z darów Bożych, z przyrody; ale człowiek przemysłem swoim przerabia każdą rzecz, aby z niej większy miał pożytek. Na to mu Pan Bóg dał rozum. Nawet dzicy ludzie mają swój przemysł, bardzo nędzny, ale zawsze przemysł. Nie umieją wyrabiać pięknych materyi na ubranie, więc odziewają się skórą zwierząt. Najdzikszy nawet przyrządza sobie jedzenie przy ogniu, pieką mięso zabitej zwierzyny, gotują różne korzonki i roślinne pokarmy.

Antoś. A chleba i bułeczek nie jedzą pewnie ci biedni dzicy ludzie. Już ja teraz wiem, że pieczenie chleba jest przemysłem.

Mama. Ten sam przemysł może być jednak bardzo nędzny, lub bardzo umiętny. Oto na przykład Murzyni w Afryce zasiewają zboże, najczęściej pewien gatunek prosa, które nazywają prosem murzyńskim. Gdy je zbiorą, wymłocą, muszą zemleć ziarno na mąkę. Biorą do tego zwykle dwa duże kamienie i rękami rozgniatają ziarno, wydychując potem plewę z mąki, jak mogą, ale musi to być bardzo gruba i brzydka mąka. Trudno z niej piec dobry chleb.

Antoś. A ciastek, leguminek, pewnie niema sposobu upiec z takiej okropnej mąki. Biedne dzieci murzyńskie nigdy tych dobrych rzeczy nie jedzą.

Mama. Biedne matki tych dzieci dobrze się muszą namęczyć, zanim wymielą grubą mąkę temi ciężkimi kamieniami. U nas przemysł to wszystko ułatwia. Młynarz nawet nie potrzebuje się zmęczyć, bo nasze młyny są tak urządzone, że w nich pracują siły przyrody.

Antoś. Siły przyrody? A cóż to znów takiego, mamusiu?

Mama. Widzisz, wiatr na przykład jest siłą przyrody, on porusza wszystko, co napotka na swej drodze, a przemysłni ludzie umieli z tego skorzystać i budują wiatraki z lekkimi skrzydłami, które poruszają się bardzo łatwo, choćby wiatr nie był zbyt silny. Skrzydła te ciągną za sobą przyrząd schowany w środku młyna, w tym przyrządzie są ogromne kamienie, a te rozgniatają zboże doskonale. W tym młynie wiatr daleko lepiej wykonywa też samą robotę, którą z takim trudem wykonywają w Afryce Murzyni.

Antoś. Ale są także inne młyny, mamuniu, na wodzie budowane; widziałem i taki, jak byłem na wsi u babci.

Mama. Jeżeli widziałeś, to musisz pamiętać, że w tym wodnym młynie są wielkie koła, a jakimże sposobem te koła się obracają?

Antoś. Woda je obraca, mamuniu; ach! jak to ślicznie wygląda. Ogromna woda płynie tak prędko, huczy, pieni się, spada na koła i one się zaraz kręcić zaczynają. Jak niema zboża do mielenia, to młynarz umie jakoś tę wodę zatrzymać, a jak tylko chce mąkę zemleć, zaraz znów wodę wypuszcza i zaczyna wszystko huczeć, szumieć, przewracać się i koła się kręcą, jak szalone.

Mama. Bieg wody jest także siłą przyrody. Jak będziesz starszy, zrozumiesz dokładnie, jakim to sposobem można urządzić młyn wodny tak, że się woda zatrzymuje, lub wypuszcza, w miarę potrzeby. Teraz już wiesz, co to jest przemysł?

Antoś. O, wiem, mamuniu, wiem.

PALIWODA.

(Dalszy ciąg)

Kiedy ja wcale nie mogłem znaleźć czapki.

— Słuchaj dalej. *20 Lutego.* Matka Paliwody przechowywała jaja w koszu, który stawiała na zimę w chłodnym, nieopalanym pokoiku. Paliwoda wynalazł koszyk pod kanapą i bawił się rozbijaniem jajek jedno o drugie, tak, że zniszczył i splamił nowy zielony pokrowiec. Za tę zabawkę został aresztowany i osadzony w krendensie, gdzie potrafił jednak wynaleść słoik z konfiturami i wypróżnić go palcami aż do dna. Za tę psotę zamknięto go w pokoju ojca, gdzie się nareszcie uspokoił.

Gucio śmiał się cokolwiek zmieszany.

— Tak, czyż to nie był bardzo niemądry rozbójnik? — spytała Zosia. — Ale słuchaj dalej.

Dnia 7 Marcu. Paliwoda miał też siostrę...

— Która się nazywała Zosia — przerwał Guccio.

— Ja wiem, że się nazywała Rusałka. Miała nadzwyczaj piękną i miłą lalkę, z prawdziwymi włosami i prawdziwymi ruchomymi oczami, zwana Halką.

Podczas gdy Rusałka była na pensyi, Paliwoda wyciągnął lalkę, począł jej wydrapywać oczy, aby zobaczyć co tam jest w środku. Następnie powiesił lalkę za włosy na sznurze, ażeby się huśtała.

Gdy Rusałka wróciła do domu i ujrzała nieszczęśliwą Halkę, rozplakała się.

Gucio zaczerwienił się po uszy i zaczął bujać nogami uderzając o podłogę wykrzywionymi bucikami.

Zosia ciągnęła dalej:

— Wtedy to i Paliwoda rozplakał się, przeproszał siostrę i nie uspokoił się, dopóki ojciec nie wezwał doktora, aby wprawił Halce nowe, prawdziwe oczy.

Czy żal jego był słuszny?

— Tak, ale Halka wyzdrowiała.

— Szkoda tylko, że Paliwoda miał tak krótką pamięć. W tydzień później 14 marca, kiedy był na spacerze, zgubił przez roz targnienie wełniane swoje rękawiczki.

Wziąwszy mamy paryskie białe, włożył je na swoje łapki i pobiegł gdzie największe błoto. Gdy powrócił do domu, wszystkie palce wyglądały z jednej rękawiczki, a druga została niewiadomo gdzie. Czy to było dobrze?

— Ręce mi marzły — szepnął Gucio.

— Mama go złażała. Mimo to Paliwoda się nie poprawił, 1-go kwietnia chciał przestraszyć chorą Kajcię. Postawił w tym celu dwa krzesła, jedno na drugim przy drzwiach salonu, na wierzchu stół, a na stoleczku doniczkę z kwiatem. Ale zamiast Kajci, nadeszła pani radczyni Brzędecka, otworzyła drzwi i mało nie zemdląła ze strachu, kiedy nagle krzesła runęły i doniczka z trzaskiem rozbiła się na podłodze.

Paliwoda dostał się za to znów do kozy.

20 Kwietnia. Paliwoda chciał doświadczyć swej zręczności w strzelaniu, więc wypuścił strzałę z łuku w okno kucharza. Drapnął przed reprzymandą.

2 Maja. Naderwał kogutowi ogon i musiał za karę siedzieć godzinę w kurniku.

4 Maja. Pływa po strumyku w niecce od ciasta, przewrócił się i zamoczył po uszy.

18 Maja. Mama zasiała groszek zrana. Wieczorem powydłubywał Paliwoda nasiona z rabatki, aby się przekonąć, czy już kiełkują.

23 Maja. Stłukł imbryczek od herbaty, wsypał skrupy do moździerza, zbił je na miazgę i chciał wmówić w Kajcię, że to cukier.

Na 5-ty Jan popełnił Paliwoda tyle głupstw, że niepodobna ich nawet obliczyć.

— O, wcale nie! — rzekł Gucio — ja wydarłem tylko dwie dziury w bluzie, jedną dużą, drugą małą.

— Słuchaj dalej — ciągnęła Zosia — 6 lipca wykopał dół w ogrodzie i ukrył w nim pieczętkę ojca, naparstek mamy, sześć szyszek i jedną żabę. Następnie zasypał dół piaskiem. Miało to przedstawiać loch z ukrytym skarbem. Przetrzęsano cały dom, szukając pieczętki i srebrnego naparstka, dopóki Paliwoda nie został wzięty na spytki, jako osoba podejrzana. Wtedy przyznał się, że zakopał w ziemię skarb — no, i został za to wytargany za czuprynę. Czy słusznie?

— Alem ja nie skłamał! — rzekł Gucio.

— Fe! czyżby miał jeszcze kłamać? Paliwoda miał w każdym razie nieczyste sumienie, bo przesiedział całe popołudnie na uboczu, co dowodzi, że kara była słuszną.

(d. c. n.)

KRÓL MIGDAŁOWY I KRÓLOWA

Komedyjka w jednym akcie.

(Dalszy ciąg).

SCENA II.

Ciż sami, wchodzi Zosia i Julisia.

Zosia (w białej, letniej sukience, z krótkimi rękawami — suknia widocznie jest za krótka i za ciasna — włosy rozpuszczone, korona z białego papieru na głowie).

Chłopcy (wybuchając śmiechem). Ha, ha, ha! a ty co na siebie wzięłaś?

Julisia (po cichu). A mówiłam panience, że będzie cudacznie!

Zosia (niezadowolona). Cicho bądź, nie mieszaj się do mnie (do braci). Czemu was dziwi mój ubiór? Zdaje mi się, że jako królowa, mam prawo nieco strojnziej się ubrać.

Janek (śmiejąc się). „Nieco strojnziej” zapewne, tylko, że ta suknia jakoś tak śmiesznie na tobie wygląda, jakby pożyczana — skąd ty wyrwałaś taki stary grat? Musiałaś ją zapewne mieć jeszcze na swoich chrzcinach.

Zosia. Ty się pewnie znasz na sukniach.

Anielka. Ale co najgorsze, że zmarzniesz w takiej leciutkiej, wyciętej sukni, gotowaś się jeszcze przeziębć; ot, lepiej przebierz się napowrót w coś cieplejszego.

Zosia. Moja kochana, nie pytam ci się o radę; przynajmniej raz w życiu mama pozwoliła mi robić co chcę, to nie po to, żebym ciebie słuchała.

Julisia. Gdzieby zaś się panienka miała znowu przebierać. Tyla byto kłopotu z tą suknią, nimeśmy ją wydobyli z kufra — a jeszcze gorzej, jak się panienka w nią zmieścić nie mogła.

Michaś. Ha, ha, ha! nie mogła się zmieścić!

Zosia. Bardzo proszę się nie śmiać — cóż to śmiesznego, że przez półtora roku trochę wyrosłam z sukni — przecież miałam ją ostatni raz jeszcze na dziecinnym baliku u państwa Żołnierskich.

Janek. I dzisiaj sobie znowu bal zrobiłaś.

Julisia (chichocząc). Oj, taki bal! panienka aż dygoce z zimna.

Zosia (w złym humorze). Wracaj sobie do garderoby, nie potrzebujemy twoich uwag.

Julisia. A ja też idę — tylko zapomniałam jeszcze powiedzieć, że pani przed chwilą wołała panienki i paniczów do salonu, bo tam jeszcze jacyś goście przyszli.

Michaś. Kto taki?

Julisia (przy drzwiach). Jacyś starsi państwo: on taki krągły, a ona taka więcej spiczasta. (wychodzi).

Janek. Ha, ha, ha! a to dopiero rysopis! — to pewnie państwo W. No, chodźmyż się z niemi przywitać, kiedy mama woła.

Michaś. Ja ani myślę! na to jestem królem, żebym sobie nie robił subiekcyi — a ja nie cierpię wchodzić do salonu, witać się, kłaniać. Żeby jeszcze jakie dzieci przyszły, to nie mówię — ale co ja tam będę robił z dorosłymi gośćmi.

Anielka. Nie mówi się gośćmi, tylko gośćmi.

Michaś. Kiedy mi się podoba mówić gośćmi, to będę tak mówił — dziś jestem królem, to mi wszystko wolno!

Anielka. Ale i owszem, mów sobie, jak chcesz, jeśli ci to robi taką wielką przyjemność. — A ty Zosiu, nie idziesz do salonu?

Zosia (trochę zmieszana, spogląda mimowoli na swoją suknię). Jabył poszła, tylko, że...

Janek (śmiejąc się). Tylko, że ona jest „nieco strojnziej” ubrana, więc się boi zanadto olśnić gości swoją toaletą.

Anielka. Dajcie jej już spokój (do Zosi) — ale istotnie może lepiej, żebyś nie szła, bo twoja balowa sukienka trochę niestosownie wygląda na taki mroźny dzień, gdy wszyscy poubierani po codziennemu. Zaczę-

kajcie na nas chwilę; my zaraz wrócimy i może przecież zaczniemy jakąś zabawę. (*Janek i Anielka wychodzą*).

SCENA III.

Michaś, Zosia.

Zosia. Czemu usadowiłeś się tak wysoko?

Michaś. To jest mój tron. Będę z tej wysokości wydawał rozkazy poddanym.

Zosia. Tron? to puśćże mnie tam zaraz; ja przecie także jestem królowa.

Michaś. Ani myślę! dla mnie nie jesteś żadna królowa. Jesteś sobie całkiem zwykłą Zosią!

Zosia. Nieprawda! kiedy zjadłam migdał, to dla wszystkich jestem królowa i dla ciebie także. A jeżeli tego nie chcesz uznać, to ty [dla mnie nie jesteś] żaden król.

Michaś. O król, to całkiem co innego! Król zawsze więcej znaczy, niż królowa, choćby dziesięć migdałów zjadła. Zresztą ja mam purpurę i złotą koronę i tron...

Zosia. A ja sobie jeszcze lepszy tron zrobię. (*Zaczyna wyciągać poduszki z łóżka i układać jedną na drugiej na kanapie*).

Michaś. Tylko sobie wymawiam, żebyś mojej poduszki nie ruszała.

(*d. c. n.*)

ZAGADKA.

Sama lekka, ciężary wielkie łatwo dźwiga,
Niema nóg, a rumaki najlepsze przesciga.

ŁAMIGŁÓWKA KRZYŻOWA.

W. F.

- 1) Spółgłoska.
- 2) Imię męskie.
- 3) Środek komunikacji.
- 4) Miasto niemieckie nad Elbą.
- 5) Miasto nad Wisłą.
- 6) Odłam lodu.
- 7) Spółgłoska.

Po wyszukaniu odpowiednich wyrazów środkowo-poziomy rząd liter, powinien złożyć nazwę miasta nad Nogatem, w Prusach Zachodnich.

Skrzynka do listów.

Białej i Czarnej Wisetce. Na pytanie „wasze przesyłamy łaskawą odpowiedź p. E. Jankowskiego: Sosna włoska zwana *pinia* (*Pinus pinea*) w gruncie u nas rosnąć nie może, bo wymarza. Można ją hodować w zimnej szklarni, wraz z innymi iglastymi amerykańskimi, himalajskimi, japońskimi, n. p. takimi jak *Araucaria*, *Caltris*, *Cedry*, *Cyprysy* i inne. W zimie nie lubią wyżej nad parę stopni ciepła, a wilgoci potrzebują raczej w powietrzu niż w ziemi. W pokoju tych warunków wcale nie znajdują, więc też łatwo giną zimową porą. E. J.

Za miłe życzenia *Wychowanek Maryampolskich*, *Dzieci Ochronki Petersburskiej*, i *Dzieci Kohatyńskich* przesyłamy serdeczne „Bóg zapłać” wraz z życzeniami wszelkich łask Boskich i postępu w naukach i cnotach.

Dobre rozwiązania i zadania własnego układu nadesłali: Rybitwa z nad Wisły, Szczera, Oleńka Wścibska, Romuś R. Waleczny i Sosna zielona.

Sokołowi Lit., łamigłówni tve złożyłam w redakcyi, która je wydrukuje z kolei, o ile okażą się odpowiednie. Wpisuję ci odznaczenia wśród tak liczego grona kolegów „gimnastyków.” Gimnastyka jest nie tylko przyjemną lecz bardzo higieniczną i niesłychanie potrzebną rozrywką dla młodzieży, hartuje, wyrabia siły i zręczność. Pamiętajmy, że utrzymanie dobrego zdrowia jest równie ważnem, jak leczenie się w chorobie; w zdrowem ciele mieszka zdrowa dusza — powiada stare przysłowie, a gimnastyka i ruch na świeżem powietrzu to najlepszy sposób utrzymania i rozwijania sił fizycznych.

Heni i Nini D. dziękuję bardzo za przysłane życzenia. Z listów waszych widzę, że „Wieczory” czytacie nader uważnie, niektóre sądy wydają mi się słuszne, z innymi nie godzę się w zupełności. Jazdę na „ski” znam tylko z rycin i opisów, dotąd nie widziałam jej nigdy, ale wystawiam sobie, że musi być bardzo przyjemnie szybować na takich długich łyżwach, więc życzę wam, aby zima ustaliła się co rychlej, aby śnieg puszystym futerkiem pokrył ziemię, a niezdolna słońca nie przeszkadzała używać tak miłego i zdrowego ćwiczenia. Dla p. Ludwika łączę serdeczne pozdrowienia.

Widzisz **Szczurku**, iż słusznie utrzymuję, że pierwsze lody bywają najtrudniejsze do przełamania, nad pierwszym listem namyślałaś się długo, następny pomknął szybko jak saneczki po gładkiej tafli. Nie ty jedna masz niedobre przyzwyczajenie, że od zajmującej książki, oderwać się nie możesz. Serdecznie jednak radzę, byś się starała tego zwyczaju pozbyć. Takie gorące czytanie nie tylko męczy, ale nie pozwala ani zastanowić się, ani odczuć piękności stylu lub myśli autora. Dążąc tylko co prędzej do portu, czyli do przeczytania ciekawego „zakończenia.” pozbawiasz się wielu przyjemności i pożytku, których dostarcza uważne czytanie. Pseudonym twój brzydki nie jest, jeżeli cię tak w domu nazywają, to i dla mnie „szczurkiem” pozostań.

Loli W. Nagrodę wysyłamy, kalendarzyk dla Meli. Nie wątpię, iż pracując tak szczerze, spełnisz swe marzenia i do czwartej klasy przejdziesz z nagrodą, tymczasem wpisuję ci, iż zwalczyłaś trudności z arytmetyką i poprawiłaś stopnie jeszcze w pierwszym półroczu. Za życzenia dziękuję, u nas święta już przeszły i gwiazdka zgasła, a wam dopiero zaplonie, niechaj ci świeci jasno, w następnym liście doniesz, jak święta spędziłaś.

Zapytujesz **Żabusiu**, czem można mnie zająć, bym po przeczytaniu listu nie westchnęła: „ach jaka ona nudna!” Przede wszystkim spieszę cię zapewnić, że jeszcze dotąd w podobny sposób nie wdychałem, a jeżeli chcesz mnie zająć, to donos o swych zajęciach i rozrywkach, podziel się myślą, lub marzeniem na przyszłość, opisz jakieś zdarzenia z życia, np. ten wypadek z dzieciństwa, od którego Żabusią zaczęto cię nazywać i t. p. Zobacysz, że tobie tematu nie zabraknie, a mnie znużenie przy odczytywaniu twych listów ogarniać nie będzie. Karty pocztowe biorę w dalszym ciągu; nawzajem przesyłać ci je mogę, jeśli wskazesz adres.

Braciszкови Rybitwy i Małemu Tolusowi wdzięczną jestem za życzenia, was także poznałam na fotografii. Bardzo jestem ciekawa czy „gwiazdka” nie zrobiła zawodu i przyniosła dużo spodziewanych podarków, oczekiwać będę, by mi Braciszek Rybitwy doniósł, co tam było pod choinką!

Na liczne listy i ładne karty pocztowe przysłane mi z życzeniami noworocznymi, nie mogę dla braku miejsca odpisywać każdemu osobno, a rozczulona tymi dowodami miłej pamięci, dziękuję najserdeczniej:

Trzem Rakom z Siedlisk, Świteziance, Wieszcze, Rusalce, Gałazce Bzu, Gwieździe z Puszczy, Orłowi z Białowieskiej puszczy i Błędnemu Ognikowi.

Łochozwiance, Mici, Milci, Lili Wenedzie z Satyjowa, Nieśmiałej, Brunetce, Japonce, Zosi, Irencie i Maryni Mańków, Halce z nad Teterowa, Dzikiem Litwinie i Blondynce nad Dochny.

Wdzięczna *Jaskółka*.